

ROZDZIAŁ 1

Livia

Jeździłam na uniwerkach na rolkach. Droga zajmowała mi nieco czasu, jako że mieszkalam na samych przedmieściach Vintage, stolicy Cesarstwa, w jednym z niewielkich domów ogrodzonych siatką, z własnym ogródkiem i sadem, który ciągnął się aż do najbliższej rzeki. Nie byliśmy rolnikami, mimo że rząd wiele razy proponował nam rozpoczęcie tego rodzaju działalności w imię cesarskiej jedności i społecznego pożytku. Żyłam na tym świecie jednak wystarczająco długo – już prawie osiemnaście lat – by wiedzieć jedno: w Cesarstwie nie istniało coś takiego jak pożytek społeczny. Istniał za to pożytek cesarza bądź też wicecesarza; wszystko w zależności od tego, za którym z rządzących psychopatów się opowiadałeś.

Po tym jak dziesięć lat temu afrykański watażka Tyrus Molli na postrzelili w szyję Brytanika – przed obiektywami kamer na żywo transmitujących jego triumf – Europa nigdy nie była już taka sama. Autorytet Cesarstwa leciał na łeb na szyję, w podziemiach pojawiły się walczące z propagandą gazeta i radio, ponoć sponsorowane przez Kimeryd, niezależne państwo afrykańskie, a ruch oporu rozprzestrzenił swoje macki nawet na tereny dawnych Niemiec i Polski. Cesarstwo Europejskie było już inne niż dobre kilkanaście lat wcześniej, kiedy to młodziutki Brytanik przejmował władzę po swoim zamordowanym ojcu. Młody zarządca wprowadził wtedy sporo społecznych i kulturalnych reform. Zrezygnował z wyścigu zbrojeń, a swój autorytet oparł na relacjach z klasą średnią, tym samym obniżając rangę faworyzowanej dotąd arystokracji.

Teraz wszyscy bez wyjątku obawiali się o swój byt. Czystki na dworze nie oszczędzały nawet najbardziej znakomych i szanowanych rodów, a prosty lud, jak to określała nas propaganda, po cichu liczył na zmiany. Nie tylko personalne i kosmetyczne, ale na takie prawdziwe, wiążące zmiany. Oczywiście nikt zbytnio nie kwapił się do wywołania powstania, nikt też za bardzo nie sympatyzował z Molliną i jego wyzwolenческими poglądami, ale podświadomie wszyscy chcieliśmy być tacy jak on. W naszych marzeniach to my wypuszczaliśmy strzałę w kierunku cesarza. Chociaż ja mierzyłabym w Sina. Utwierdzałam się w tym postanowieniu każdego dnia, odkąd tylko zaczęłam uczęszczać na uniwersytet jego imienia, przez samych studentów ironicznie nazywany Spin School. W gronie moich znajomych skracaliśmy go do SS. Historyczny wydźwięk tej nazwy nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Gdyby nie SS, najprawdopodobniej poszłabym na jakieś studia gimnastyczne, coś związanego z tańcem lub akrobatyką. Może pokusiłabym się też o występ na olimpiadzie: na początek europejskiej, a potem – kto wie. Otaczająca mnie rzeczywistość zmieniała się tak szybko i niespodziewanie, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby pewnego dnia Kimeryd wyszedł z propozycją olimpiady afrykańskiej. Byliśmy tak zaabsorbowani eksploataowaniem Afryki – przy jednoczesnym ignorowaniu jej możliwości – że nie spostrzegliśmy nawet, kiedy to ona zaczęła się nam odpłacać. Ze wszystkich sił. Nikt tak jak Tyrs Mollina nie potrafił przyciągać do siebie uzdolnionych i pragnących zmian ludzi, którzy, nie bojąc się ryzyka, przedstawiali się na kontynent – czy to statkami odpowiedzialnymi za import żywności i amunicji, czy to samolotami towarowymi. A wszystko po to, by dotrzeć do upragnionego skrawka ziemi, na którym mogliby cieszyć się pełną wolnością. Czasem wyobrażałam sobie, że do nich dołączam. Moje wrodzone

umiejętności w posługiwaniu się białą bronią, dodatkowo wzmocnione intensywnym szkoleniem w dziedzinie szermierki, mogłyby nawet zrobić wrażenie na Mollinie i jego zabójczym klanie hybryd dinozaurów i ludzi. Tak, fascynowałam się Afryką; bardzo identyfikowałam się z niepodległościowym ruchem Kimerydu. I aż paliłam się do zdrady Cesarstwa i ustalonego przezeń porządku.

Tymczasem w ramach nowego integracyjnego programu Brytanika zostałam wcielona... a raczej rzekomo zaproszona do złożenia papierów na uniwersytet w Vintage. W związku z rosnącym niezadowoleniem ludu i brakiem porozumienia z arystokracją Brytanik zarządził intensywne mieszanie się obu warstw społecznych, postanowił również zbudować odrębny oddział składający się z najlepszych potomków arystokratów i przedstawicieli ludu. W tym celu gromadził ich wszystkich na Uniwersytecie Sina. Jak zwykle: Brytanik coś wymyślał, a Sin zajmował się brudną robotą.

Właściwie nie wiedziałam, na jakim kierunku studiuję. Było to specyficzne skrzyżowanie historii, filozofii, propagandy i kultury, powiązane ze stałymi treningami fizycznymi. W ten sposób przygotowywaliśmy się do corocznego turnieju o tytuł lapis-lazuli. Nazwa wzięła się od godła Cesarstwa, które przedstawiało ten właśnie kamień zatopiony w masie perłowej. Jego podwójna nazwa pasowała do określenia dwójki zwycięzców turnieju. Dopiero zaczynałam moją przygodę ze Spin School, więc nie najlepiej orientowałam się jeszcze w zasadach; jako że cierpiałam jednak na lekki przerost ambicji, już teraz planowałam, jak by tu utrzyć nosa paru badassom spod skrzydeł samego Sina.

Ostro skręcałam na rolkach, żeby wyminąć powietrzny motocykl, który unosił się niecały metr nad ziemią. Facet

nie kierował się chyba do powietrznego tunelu. Zamiast tego popisywał się lataniem nad zwykłą ulicą, zupełnie jakby było czym.

Zadarłam głowę do góry i pokazałam mu środkowy palec. Ku mojemu zaskoczeniu odwdzieczył mi się tym samym, rzucając mi spojrzenie przez ramię. Pęd wiatru rozwiewał część jego ciemnych, kręconych włosów, która wymykała się spod kolorowego kasku. Jego głowa wyglądała jak wielkie tęczowe jajo. Westchnęłam w duchu – w Vintage roilo się od takich palantów.

Ledwo wstałam z łóżka i ruszyłam na zajęcia, a już miałam ochotę zawrócić i wpakować się w moje rozrzucone poduszki. Nie zdążyłam zjeść do końca śniadania ani nawet po sobie pościelić.

Wczorajsze rozpoczęcie roku akademickiego uznałam za największą masakrę propagandową świata. Przemówienie dupka Sina poprzedzało wynurzenia suczki Cery Tharen, która zarządzała uniwerkiem od czasu powrotu z Afryki. Dostąpiliśmy nawet wątpliwego zaszczytu wysłuchania starucha Brytanika, którego pomarszczoną twarz transmitowano na wielkich telebimach. Wisienką na torcie było wystąpienie Adama Cornetnego – psora od literatury azteckiej i specjalisty od relacji europejsko-indiańskich – które okazało się, o dziwo, całkiem składne. Na koniec zaś objawiła się największa bomba dnia: pokazowa przewodniczącego samorządu, gwiazdy Internetu, mediów społecznościowych i zapierających dech w piersiach reality show – Patricka Horna, aktualnego lapisa, syna lorda Daryla Horna z Ministerstwa Zdrowia i Farmaceutyki.

Ta ruda hiena po prostu wskoczyła na podwyższenie, rzuciła kilkoma frazesami i zebrała głośne, gorące brawa – w odpowiedzi na chełpliwe deklaracje, że w tym roku również zdobędzie tytuł. Jego niedoczekanie. Och, serio, nie cierpiałam

tego palanta. Nie mogłam o nim nie słyszeć, nie mogłam go nie widzieć i nie rozpoznać nawet po pijaku, a jednak tak się stało... Na swoje usprawiedliwienie dodam, że nikt by się nie spodziewał panicza Horna na imprezie na przedmieściach, w dodatku takiej, gdzie raczej diabeł mówi dobranoc, a nie zaprasza do zabawy grube ryby prosto z cesarskiego dworu. No co? Dziewczyny też lubią się od czasu do czasu zabawić. Ta konkretna dziewczyna w szczególności uwielbiała tańczyć, najlepiej po kilku kielichach i w towarzystwie najlepszych przyjaciółek. Miałam aż dwie, które w dodatku były w sobie zakochane. Poznałyśmy się w domu dziecka, gdzie mieszkalam, zanim trafiłam pod dach mojej troskliwej kuzynki Madleine.

Patrick Horn zjawił się na naszej lokalnej potańcówce w towarzystwie paru kolegów i elegancko wtopił się w tłum. Cwaniak założył kapelusz, pod którym jakoś udało mu się schować tę rudą szopę. Ojejku, jejku, wielkie mi coś, lizać się z facetem na dyskotecę. Zdarzało się i najlepszym. Mnie się zdarzyło tamtego lipcowego wieczoru – z seksownym facetem w kapeluszu, który tańczył jak sam uniwersalny bóg, choć tylek miał wart każdego, najbardziej wynaturzonego grzechu wprost z repertuaru wicecesarza Sina. Wepchnęłabym go na rurę i godzinami oglądała, jak się na niej wije i zmysłowo mruczy. W końcu mówili na niego Kocur – może ze względu na jego lekko skośne oczy albo liczne piegi na nosie i policzkach, które wyglądały jak ślady po wąsach.

Kiedy rozpoznałam te jego rude włosiska, prawie padłam trupem. Patrick Horn wsadzał mi język do gardła, a mnie się to podobało. Z wrażenia aż kupiłam sobie nowe opakowanie płynu do płukania ust i od tamtej pory używałam go regularnie średnio co pół godziny, aż Madleine wymownie popukała się w czoło. To zwykle działało na mnie otrzeźwiająco.

Patrick Horn był chyba najbardziej nielubianym młodym arystokratą z dworu Brytanika. Nie przebierał w słowach, gdy na swoich blogach pisał na temat afrykańskiego powstania, nie umawiał się też z dziewczynami z nizin, jak zwykł określać swoje fanki wywodzące się z prostego ludu. Zresztą te bardziej honorowe dziewczyny (w tym ja, serio, halo!) uważały go za symbol szowinistycznych zapędów na dworze cesarza i głośno go krytykowały. Dlatego też lizanie się z nim na dyskotecę uważałam za swoje osobiste zniesławienie, za które ktoś powinien mi wypłacić odszkodowanie. Najlepiej sam cesarz, ten zmodyfikowany chuj.

Miałam nadzieję, że Horn nie wypatrzył mnie wczoraj w tłumie. Prędzej czy później na pewno się spotkamy, choć wolałam później. I żeby wtedy nie próbował mi już pakować języka do gardła. Nasze języki w ogóle powinny trzymać się od siebie z daleka.

A wracając do tematu: gdybym zamiast rolek wybrała podwózkę powietrznym samochodem Madleine, byłabym na miejscu już jakieś pół godziny temu, ale z samego rana wolałam trochę się przewietrzyć. Mijałam więc kolejno: park na przedmieściach, kręte alejki prowadzące w głąb miasta, najbardziej ruchliwe ulice – na których cały czas musiałam okazywać przepustkę upoważniającą mnie do wstępu do dzielnicy arystokratycznej – aż w końcu stanęłam przed bramą uniwersytetu i przedostałam się na parking. Slalomem przejechałam pomiędzy kosztownymi powietrznymi samochodami i motocyklami młodych arystokratów.

Na największym speedzie minęłam stajnię, salę gimnastyczną i tor przeszkód, przygotowany specjalnie dla najlepszych ze świty Horna i jemu podobnych dupków, aż dotarłam do głównego budynku uniwerku – z czerwonej cegły. Byłam już spóźniona, w dodatku właśnie o to pół godziny, które

zaoszczędziłabym, jadąc z Maddie. No cóż, z moim uporem lepiej nie dyskutować. Zresztą spóźnienia też były efektowne. Z tą myślą wpadłam do sali wykładowej, akurat przerywając profesorowi Corntnemu w połowie zdania. Po drodze zdjęłam rolki i zamieniłam je na moje ulubione dwukolorowe trampki. Poza tym mój przepisowy mundurek Spin School prezentował się całkiem znośnie, nie licząc tego, że był pognieciony (wczoraj nie zdążyłam wrzucić go do automatycznej prasownicy, a potem o tym bezwstydnie zapomniałam) i męski. Tak, założyłam męski mundurek Spin School do dwukolorowych trampek.

Corntny zastygł w bezruchu z szeroko otwartymi ustami, jakby nie dowierzał własnym oczom. Po sali wykładowej przeszedł pomruk niezadowolenia. Ktoś odchrząknął, dziewczyny z pierwszego rzędu wykrzywiały twarze ze złości i z odrazą kręciły głowami. Poślałam im promienny uśmiech i pomachałam sprzyjającym mi złośliwcom z ostatniego rzędu.

– Siema! Jestem Livia Reeves i będę z wami w grupie. – Teatralnie się ukloniłam. Poprawiłam torbę na ramieniu. Zaczęła mi już ciążyć. W drugiej ręce trzymałam moje rolki. – A właśnie, panie psorze, jest tu jakaś szatnia? – zainteresowałam się.

Corntny podrapał się po głowie. Z tyłu rozległ się śmiech.

– Co to ma znaczyć? – odezwał się w końcu, wskazując na mnie palcem.

– Co konkretnie? – zaciekawiałam się, pytając uprzejmie.

– Sam nie wiem. Powiedziałyby, że wszystko.

– W życiu trzeba być bardziej precyzyjnym, panie Corntny. – Wzruszyłam ramionami.

– Dziękuję, panno Reeves. Jak to dobrze, że się pani pojawiła i udzieliła mi tej dobrej rady. Postaram się zrewanżować tym samym. Proszę natychmiast pójść się przebrać.

– To była ta rada?

– Właśnie tak.

– Nie. Nie zgadzam się. Wolę męski mundurek.

Sala zamarła. Kiedy wszystkie śmiechy ucichły, Corntny, poprawiając okulary w srebrnej oprawie, w końcu stwierdził:

– To ma pani problem, panno Reeves.

* *
*

Właściwie powinnam zacząć od początku. Spin School wymagał od swoich studentów noszenia mundurków, przy czym obowiązkowe kuse plisowane spódniczki i obcisłe koszule znacznie utrudniały dziewczynom zdobycie dobrej pozycji na turnieju, którym tak szczylił się Sin. Co prawda najlepsze uczennice mogły brać w nim udział, ale w odrębnej kategorii, przeznaczonej tylko dla kobiet – lazuli. Od paru lat prym wiodła tam Amelia Sheridan, którą uważano za kobiecego odpowiednik Horna, trudno jednak było mi się z tym pogodzić. Amelia wydawała mi się na tyle popierdolona, że w porównaniu z nią Horna można było nazwać co najwyżej niesfornym.

W każdym razie problem jak zwykle leżał w mojej motywacji. Odkąd wysłano mnie do Spin School, postanowiłam, że przynajmniej będę się tu dobrze bawić. A w tym wypadku definicją dobrej zabawy było dla mnie ścieranie się z draniami ze świty Horna i pozbawienie jego samego lauru zwycięzcy. Może wtedy nie będę musiała płukać sobie ust osiem razy dziennie, jakbym cały czas jadła czosnek.

W regulaminie napisano tylko, że osoba nosząca męski mundur będzie uważana za przedstawiciela płci męskiej; punkt ten aż prosił się o nadinterpretację. Zdziwiłam się, że inni na to wcześniej nie wpadli. Męski mundur SS był w moim odczuciu nudny – zwyczajny garnitur uzupełniony koszulą z jedwabnym

krawatem. Na domiar złego wszystko to w stonowanych kolorach czerni i bieli. Musiałam spiąć długie włosy w kok na czubku głowy, żeby dodać sobie powagi, ale nie potrafiłam sobie odmówić tych trampek. Planowałam przerobić cały strój do końca tygodnia, jak tylko zorientuję się w towarzystwie i dowiem, kogo mogę bezkarnie drażnić, a kogo lepiej nie.

Corntny poprosił mnie, żebym wyszła na zewnątrz. Zrobiłam to, choć miałam ochotę po prostu zająć miejsce w jednej z półokrągłych ławek ustawionych w równych rzędach do samej ściany. W sumie na razie nie uważałam go za swojego wroga, przeciwnie – podczas wczorajszego przemówienia wydał mi się całkiem sympatyczny i zainteresowany wykładanymi przez siebie przedmiotami. Sprawiał wrażenie wytwornego, ułożonego arystokraty. Eleganckie spodnie w kant, niebieska koszula ze złotymi spinkami przy mankietach i jedwabna kamizelka wyszywana wzorami niewielkich kwiatów, ze srebrnymi guzikami pod kolor oprawek jego okularów. Do tego facet był całkiem przystojny – wysoki brunet o łagodnym, szarobłękitnym spojrzeniu, niezbyt umięśniony, raczej umiarkowanie wysportowany. Od razu było widać, że gustował w książkach, a nie w broni.

– Panno Reeves, naprawdę nie żartuję. Ktoś inny na moim miejscu już by panią zgłosił do rektora i w najlepszym razie zostałaby pani wydalona z uczelni. Czy pani nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo cesarz naciska teraz na przestrzeganie zasad?

Wzruszyłam ramionami.

– Zdaję sobie sprawę, panie Corntny.

– Panie profesorze – poprawił mnie.

– Tak, tak, panie profesorze Corntny. – Westchnęłam. – Ale mój strój nie jest wyrazem jakiegoś bliżej nieokreślonego buntu. Chodzi raczej o to, że chcę wziąć udział w turnieju.

– Może to pani zrobić, uczęszczając na zajęcia w damskim mundurku – zauważył z przekąsem.

– Chcę zostać lapisem.

– Może pani zostać lazuli.

Spojrzałam mu w oczy z tak bardzo niewielkiej odległości, że aż lekko się cofnął.

– Nie. Chcę zostać lapisem.

Milczał, zrozumiałwszy, jak bardzo jestem zdeterminowana i że nie przekona mnie wykład o moralności i dobrych manierach obcego kolesia od stosunków europejsko-indiańskich.

– Pierwszy dzień i już sprawia pani kłopoty, panno Reeves...

– A im dalej w las, tym więcej drzew. – Uśmiechnęłam się niewinnie.

– Czy mogę spytać, po co pani tytuł Patricka Horna?

– Cieszy się większym prestiżem niż tytuł Amelii Sheridan.

Proste. Znam swoją wartość, panie Corntny... przepraszam, panie profesorze Corntny. Skoro już mnie tutaj sprowadziliście, skoro chcieliście mieć u siebie zdolnych przedstawicieli „ludu”, dajcie się nam wykazać. Dzielenie zawodników ze względu na płeć jest nie tylko głupie, ale też niesprawiedliwe i wypaczające ideę zdrowego współzawodnictwa.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Wróżę pani niezwykłą karierę w Spin School. Jeśli tylko przekona pani do siebie madame Tharen. Zaprowadzę panią do niej.

– Nie trzeba. Trafie sama – sarknęłam.

– I tak zostałam opiekunem pani grupy. Proszę pozwolić mi się wykazać. Może ja też jestem ciekawy, jak sobie pani poradzi?

Zerknęłam na niego podejrzliwie.

– Dziękuję, panie profesorze Corntny.

– Ależ proszę, panno Reeves.

Corntny poprowadził mnie schodami do góry. Miały rzeźbione, cudownie inkrustowane poręcze, pokrywał je bordowy dywan tkany złotą nicią, a na ich szczycie królowały dwie rzeźby przedstawiające raptory. Jeden uważnie rozglądał się po okolicy w poszukiwaniu ofiary, a drugi groźnie strzeżył kły, wystawiając pazury.

– Tyrs. – Corntny wskazał na wężącego raptora. – I Taniel – dodał, kiwając brodą w kierunku zwierzęcia szykującego się do ataku. – Dwaj prześladowcy naszej pani dyrektor. Nigdy ich przy niej nie wspominaj.

Wzruszyłam ramionami. Nie obchodziła mnie historia madame Tharen, chciałam tylko przeżyć te cztery lata w oddaleniu od jej knowań. Jak jednak zaczynałam rozumieć, mogło się to okazać niewykonalne. Już chyba wołałabym mierzyć się z samym Sinem niż z tą urodzoną intrygantką; przynajmniej z nim sytuacja była do bólu prosta – mogłeś liczyć na jego szacunek, ale nigdy na litość. Sin zabijał, bo musiał; zabijał, bo lubił musieć. Madame Tharen udawała nieszkodliwą, osaczała, niszczyła, manipulowała – aż ostatecznie doprowadzała swoje ofiary do upokarzającego upadku. Nigdy nie było wiadomo, czy rzeczywiście okazywała komuś sympatię i wsparcie, czy też szykowała się do rozszarpania swojej ofiary na strzępy.

Tyrs Mollina znowu zapunktował w moim osobistym rankingu. Sin go szanował, a madame Tharen się go bała. Zresztą, jak teraz się przekonałam, nie tylko jego. Bała się też jego młodziutkiego brata Taniela – Czarnego Księcia. Tutaj w sumie przyznawałam jej rację, bo ja też się go bałam, kompletnie nie pojmując, co te wszystkie europejskie niunie w nim widziały. Owszem, miał słodką buźkę, a uśmiechał się tak, że z miejsca

miękły kolana. Mimo to jakoś nie marzyła mi się randka z kanibalem. Bo Czarny Księżę nim był, bez względu na to, co niby miało go usprawiedliwiać. Fakty pozostawały faktami. Kropka.

Na końcu korytarza mieścił się gabinet pani rektor. Profesor zaprowadził mnie pod same drzwi.

– Zaczekaj tutaj. Sprawdzę, czy madame jest u siebie.

– A dostanę kluczyk do szafki? Rolki mi ciążą.

– Nie wszystko naraz, panno Reeves. – Corntny przewrócił oczami.

– Jestem niecierpliwa z natury – prychnęłam.

– Zauważyłam.

Zniknął za drzwiami. Ciężko westchnęłam.

– Zapowiada się ciekawy dzień, co? – Usłyszałam za swoimi plecami i zerknęłam za siebie przez ramię.

Na długiej ławie w pobliżu gabinetu siedział ciemnowłosy chłopak, który wcześniej odsunął słuchawki od uszu, żeby przysłuchiwać się mojej rozmowie z Corntnym. Skrzyżowane w kostkach nogi swobodnie rozciągnął przed sobą, opierając się o ścianę tak, żeby było mu jak najwygodniej. Zmierzyłam go uważnym spojrzeniem. Najbardziej w oczy rzuciło mi się to, że miał zupełnie inny mundurek – ciemnoniebieski, pod kolor jego oczu, ozdobiony srebrnymi epoletami i guzikami. Pod szyją nosił elegancko zawiązaną fioletową apaszkę. Przydługa grzywka kładła się pojedynczą falą na jego czole, przysłaniając mu prawe oko. Przemknęło mi przez głowę, że to chyba jego widziałam wczoraj w towarzystwie Horna.

– Wolałabym, żeby już się skończył – burknęłam. – Jestem Livia. – Podeszłam do niego i buńczucznie podałam mu rękę.

Spojrzał na nią, jakby się zastanawiał, czy powinien ją uściśnąć. W końcu się uśmiechnął.

– Chris. – Delikatnie ujął moje palce. Pewnie się bał, że się ubrudzi.

Pierdoleni arystokraci! Chyba myśleli, że urodzili się zrobieni z waty cukrowej. Cofnęłam dłoń i demonstracyjnie otarłam ją w spodnie. Teraz już jawnie się roześmiał.

– Jesteś nowa – stwierdził, bo to nie było pytanie.

– Ale nie zielona.

– To widzę. Podobno całować się też potrafisz. To ważna umiejętność. Zwłaszcza w Spin School.

Poczerwieniałam na twarzy. Tak, typek zdecydowanie był kumplem Horna.

– Pochodzisz z przedmieścia. Pamiętam, jak pojechaliśmy z Patrickiem cię sprawdzić. Chyba nie sądzisz, że Sin przyjąłby tutaj byle jaką gęś z prowincji?

– Miło mi słyszeć, że Sin nie uważa mnie za byle jaką gęś z prowincji. Chętnie zrewanżuję mu się takim samym osądem.

Chłopak śmiał się tak, że aż zaczęły mu lecieć łzy. Nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

– Mogę wiedzieć, co cię tak rozbawiło?! – warknęłam.

– Nic, po prostu myślę, że będziemy mieli tutaj z tobą wesoło.

– Niby dlaczego?

– Sama się za chwilę przekonasz. Chociaż nie chciałbym być złym prorokiem. Chyba zacznę ci kibicować, Livio Reeves.

– Obędę się bez tego.

– Oby.

Na szczęście dla niego w tym momencie Corntny wyrzwał przez szparę w drzwiach.

– Madame Tharen na panią czeka.

Chris z powrotem założył słuchawki na uszy i przestał zwracać na mnie uwagę. Odwróciłam się do niego plecami.

Madame Cera Tharen siedziała przy swoim wielkim, ciemnym biurku inkrustowanym masą perłową. Za jej plecami znajdowało się okno z widokiem na dziedziniec Spin School, na którego tle stał Patrick Horn, opierając się o ramę okienną. Z początku go nie rozpoznałam. Słońce skrywało go w cieniu i widziałam tylko jego sylwetkę, tak że dopiero gdy podszedł do biurka, zauważyłam, że to był on – lapis Spin School we własnej osobie. Starałam się skupić na madame i na mojej kuriozalnej sytuacji, ale sama obecność Kocura tak mnie rozpraszała, że mimowolnie podążałam za nim wzrokiem.

– Cześć – powiedział do mnie, jak gdyby nigdy nic.

Speszyłam się jak głupia nastolatka, którą najprawdopodobniej byłam. Próbując nad sobą zapanować, wzięłam kilka głębokich oddechów – nade wszystko chciałam zachować spokój. Horn uśmiechnął się półgębkiem, co nadało jego twarzy szyderczy wyraz. Koleś miał mega mimikę. Pomyślałam, że nadawałby się na aktora.

– Cześć – odpowiedziałam twardo, wytrzymując jego badawcze spojrzenie.

Niech go wreszcie trafi szlag! Jego i te oczy o odcieniu bursztynu świeżo wyłowionego z oceanu. Zaraz, zaraz, skąd mi się wzięło to idiotyczne porównanie? Nie, o nie, nie pozwolę zrobić z siebie rozmemłanej, zauroczonej, śliniącej się kretyнки!

W końcu udało mi się odlepić od niego wzrok i przenieść go na osobę pani rektor, która musiała obserwować mnie w czasie, gdy wgapiłam się w Horna. Ruda sucz. Chyba w dodatku farbnięta na ten sam kolor co Kocur. Krótka obcięta, opalona na przyjemną morelkę, w klasycznej garsonce i wielkich klipsach w stylu starych gwiazd filmowych mogła się nawet

wydawać atrakcyjna, oczywiście jak na te swoje czterdzieści lat.

– A słyszała pani o tak podstawowych zasadach grzeczności, jak mówienie dzień dobry? – zapytała w końcu.

– Dzień dobry.

Corntny stłumił uśmiech. Drugi kącik ust Horna powędrował do góry, a w jego oczach pojawiły się radosne iskry. Zanim się z nim przelizałam, nie zdawałam sobie sprawy, że mam słabość do rudzielców, i to w dodatku piegowatych.

– Nie mam szafki – dodałam, potrząsając rolkami przed nosem pani rektor. – W ogóle nie wiem, po co państwo poświęcają mi tyle uwagi. Chciałabym w końcu w spokoju zabrać się za naukę.

– Lubi się pani uczyć, panno Reeves? – zaciekała się Tharen.

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Nauka bardzo mnie nudzi. Wolę tańczyć.

– I do tego tańca potrzebuje pani męskiego mundurka i... – zająknęła się, spoglądając na moje stopy. – Nie wiem, jak to nazwać... – Wskazała długopisem na moje buty.

– To są trampki, madame – oświeciłam ją z przekąsem. – Dwukolorowe. Jeden jest czerwony, a drugi żółty. Jak flaga Kimerydu.

Zaległa cisza była aż trudna do zniesienia. Zerknęłam na Corntnego; miał minę, jakby właśnie nadepnął na jaszczurkę. Za to Horn przestał się uśmiechać i marszczył teraz brwi. Robiła mu się między nimi seksowna zmarszczka.

– Pani zachowanie jest co najmniej nieprzyzwoite, panno Reeves – wyrzuciła w końcu z siebie madame takim tonem, jakby sama brzydziła się swoich słów.

– Myślałam, że porównanie się pani spodoba, skoro ma pani rzeźby dwóch raptorów prawie przed samymi drzwiami.

– Nie chodzi o porównanie, chodzi o wszystko, co pani sobą reprezentuje.

– A mianowicie?

– A mianowicie niesubordynację.

Założyłam ramiona na piersi.

– Madame Tharen, ja się nie prosiłam na ten uniwersytet. Planowałam wyjechać na południe i kontynuować karierę taneczną. To Cesarstwo mnie tutaj chciało. Jeśli nie podobają się pani moje trampki, to nie ma sprawy – wycofam papiery i odejdę.

Corntny i Tharen wymienili spojrzenia.

– Nie może pani wycofać papierów. Wicecesarz Sin odczyta to jako zdradę stanu i każe panią powiesić.

– Z powodu moich trampek? Nie wiedziałam, że wicecesarz tak bardzo przejmuje się modą. Jakoś tego po nim nie widać.

– Czy to drwina z wicecesarza?! – warknęła madame.

– Jestem prostytutką z przedmieścia, będę sobie drwiła, z kogo mi się podoba i ile mi się podoba, chyba że zostawicie mnie w spokoju. I pozwolicie mi wziąć udział w turnieju.

– Po co ten męski mundurek? – Tharen odchyliła się w fotelu.

Zerknęłam na Horna, który stał za masywnym meblem, opierając się łokciem o jego wezgłowie. Wbijał we mnie nieruchomy wzrok węża.

– Już mówiłam panu profesorowi: chcę wystąpić w turnieju.

– Corntny wspominał mi o tych absurdach.

– Regulamin to regulamin – sarknęłam.

– Jedyne, co mogę zrobić, to porozmawiać na ten temat z samym wicecesarzem. Jeśli się zgodzi, możesz nawet chodzić na zajęcia w kapeluszu.

Uśmiechnęła się do mnie znacząco. Mocno zbladłam, a potem znowu się zaczerwieniłam.

- Z piórem – zapewniłam.
- Horn cicho się roześmiał.
- Niewyparzona buźka – skomentował.
- Czy do tego czasu dostanę szafkę? Serio, te rolki są ciężkie. – Postanowiłam ignorować tego padalca.
- Profesorze Corntny, proszę ją stąd zabrać. Rozbolała mnie głowa.
- Livunia kontra ruda sucz: 1:0.

* *
*

Dostałam szafkę. Corntny pozwolił mi zanieść do niej rolki, zanim wrócę na jego zajęcia. Kazał mi nadrobić zaległy materiał i przepisać notatkę do zeszytu od którejś z osób z mojej grupy. Bułka z masłem. Szczerze powiedziawszy, strasznie się zmęczyłam, mimo że dzień ledwo się zaczął; potwierdzało to tylko moją teorię, że miałam do czynienia z wyjątkowo toksycznymi ludźmi. Nie mogłam się już doczekać, kiedy wrócę do domu i trochę popracuję fizycznie w sadzie albo ogrodzie. To pomagało na wszystkie stresy.

W drodze do sali natknęłam się na Horna. W zasadzie nie do końca się natknęłam – wyglądał bowiem tak, jakby właśnie na mnie czekał w tym swoim nieskazitelnym białym mundurze ze złotymi epoletami. Odkleił się od ściany dobrze wyćwiczonym, zmysłowym ruchem i bezceremonialnie do mnie podszedł. Zamierzałam znowu go zignorować i wyminąć, ale zapobiegliwie złapał mnie za ramię.

- Puszczaj – syknęłam.
 - Mnie się nie odmawia.
 - Spadaj, frajerze.
- Puścił mnie i pozwolił, żebym obok niego przeszła. Byłam z siebie dumna. Jakim dupkiem trzeba być, żeby opowiadać

podstarzałym sukoni, z którymi dziewczynami się całuje? I jeszcze ten jego przemądrzały kumpel. Co to miało znaczyć, że przyjechali mnie sprawdzić? Musiałam zgłębić ten temat. A do tego czasu nie zaprzestawać intensywnego płukania ust, a może też i mózgu, żeby pozbyć się z niego obrazu kształtnych ust Kocura.

– Będiesz tego żałowała – rzucił za mną jakby od niechcienia.

– Zastraszanie jest na poziomie dzieci z przedszkola. A ja już studiuję. Baw się dobrze, paniczu Horn.

* *
*

Wróciłam do domu przed szóstą. Nawet przemieszczając się na rolkach, nie uniknęłam korków. Przedarcie się przez Vintage w godzinach szczytu granoczyło z cudem, a ja w dodatku naprawdę mieszkalam na dalekich przedmieściach. Nasz dom stał blisko rzeki, zewsząd otoczony był polami, a w najbliższej okolicy znajdowały się dwa większe bary, supermarket, kino i niezliczona liczba domków jednorodzinnych wybudowanych w tym samym stylu co nasz. Marzyłam już tylko o tym, żeby zdjąć z siebie ten upierdliwy mundurek. Koszuła kleiła mi się do pleców. Dawno pozbyłam się krawata, uznając, że skoro i tak zamierzałam przerobić sobie strój, mogłam zacząć od elementu, który najbardziej mnie irytował. Mknęłam przed siebie z nadzieją, że Maddie udało się szybciej wrócić z pracy i że tym razem zrobiła jakiś obiad i nie będziemy musiały zamawiać pizzy. Nie lubiłam niezdrowego jedzenia. Wolałam sama gotować i sprawiało mi to ogromną przyjemność. Podobnie jak sprzątanie, wykonywanie prac wokół domu i przerabianie pokoi. Wtedy czułam, że kontroluję własne życie. A nic nie sprawiało mi takiej przyjemności, jak przeświadczenie o tym,

że żyję według własnych zasad. Trudny charakter na trudne czasy.

Wjechałam na podwórko, mijając ogródek kwiatowy i warzywny, ścieżkę między drzewami owocowymi, szopę na narzędzia i stajnię, aż dotarłam do naszego domu. Był schowany między gałęziami wierzb. Niski, ze spadzistym dachem, pięcioma pokojami na parterze, dwoma na piętrze i przestronnym stryszkciem, na którym L urządził swoją pracownię. Chociaż on nie lubił, kiedy w domu nazywałyśmy go L-em, wołał być Liamem – zwykle tak się też do niego zwracałam. Liam był kimś w rodzaju naszego dobrego ducha – niby z nami mieszkał, ale nie mieszkał. Madleine nie lubiła mówić o jego pochodzeniu, ale nie byłam na tyle głupia, żeby się nie domyślić, że pracował dla Cesarstwa. Zresztą to on nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Zrobił to, bo go o to poprosiłam. Miałam predyspozycje do walki, ponadto uważałam, że żyjemy w tak pojebanym systemie, iż umiejętność dobrej obrony i ataku była bardzo przydatna. W każdym razie Liam urządził sobie w naszym domu swój własny warsztat stolarski, w którym robił meble i krzesła; w stajni trzymał zaś swojego ukochanego białego konia w czarnej łącie. Kiedy byłam młodsza, uczył mnie na nim jeździć.

Nie za bardzo rozumiałam jego układ z Madleine. Niby mieszkali razem, niby na spółkę zabrali się za wychowanie mnie i mojej młodszej siostry Dorothy, ale trudno byłoby stwierdzić, że łączy ich coś więcej. Byli raczej dwojgiem przypadkowo dobranych ludzi, których sytuacja zmusiła do założenia rodziny, wbrew ich osobistym preferencjom i życiowym potrzebom. Moja rodzina może i była bardzo dziwna, ale najlepsza na świecie. Kochałam ich bardziej od muzyki i tańca. Kochałam ich bardziej od samej siebie i moich pokręconych ambicji, przez które zawsze pakowałam się w kłopoty. Taka się już urodziłam – musiałam brylować i prowokować.

Od wejścia powitał mnie niesamowity zapach. Z kuchni dochodziły głosy. Usiadłam na szafce w przedpokoju, rzuciłam torbę na podłogę i zaczęłam siłować się z rolkami. Przeszłam do kuchni na palcach, po drodze zdejmując marynarkę i rozpinając koszulę pod szyją. L stał przy kuchence i smażył mięso mielone z warzywami w wielkiej patelni. Ślina napłynęła mi do ust. Uwielbiałam mięso, ba, ubóstwiałam je. Jadłam nawet tatara. Maddie dbała jednak, żeby w mojej diecie znalazło się też dużo warzyw i owoców. Sama była zdeklarowaną weganką.

– Pachnie cudownie! – rzuciłam zamiast przywitania.

Liam spojrzał na mnie przez ramię.

– Hej, malutka.

– Niedługo będę wyższa od ciebie. – Podeszłam do niego i wspierałam się na palce, żeby pocałować go w policzek.

Był postawnym, wysokim blondynem o orlim nosie. Jego przenikliwe, szare spojrzenie spoczęło na moich włosach ściągniętych w kok, a potem na koszuli i spodniach od mundurka.

– Nie mogę się doczekać. – Puścił mi oko. – Co to za strój? Odstawiacie teraz teatrzyki w Spin School?

– Dopiero się rozkręcamy. – Usiadłam okrakiem na taborecie.

Okno kuchenne wychodziło na najbliższe pola i mającą w oddali rzekę. Dotykową kuchenkę wmontowano w ciemnozielony blat, nad którym wisały szafki, a po prawej stronie znajdował się zlew, zmywarka i dodatkowa szafka na garnki. Wielka, srebrna lodówka zajmowała róg pomieszczenia. Zaraz za nią przechodziło się do spiżarni wyposażonej słoikami, które w większości sama zaprawiałam.

Kuchnia zdecydowanie miała swój styl i była moim ulubionym miejscem w domu. Łączyła się z niewielką jadalnią, w której Madleine i Dorothy dyskutowały właśnie o zakupie nowej dotykowej pralki. Stara psuła się średnio raz w tygodniu

i trzeba było wzywać serwis albo jechać po części do supermarketu. Zwykle mknęłam po nie na rolnkach.

– Livia... nie szalej – poprosił, mieszając drugą łyżką w garnku pełnym makaronu.

– Nie szaleję. Po prostu skoro już zmusili mnie, żeby tam chodzić, nie zamierzam podporządkowywać się ich regułom. To śmieszne.

– Robisz niepotrzebny szum.

– To niech się odpierdolą. Nie będę się bawić w walki w kisielu z dziuniemi, które golą cipki z najmniejszych włosków, co swoją drogą cholernie boli. Liam, to nie moja liga.

Zaśmiał się.

– Jesteś Livią, bo ja jestem Liamem. Też jesteś na „I”.

– Pięknie, ale jak zwykle nic nie rozumiem. Przy tobie zawsze jestem powolna w myśleniu.

– Nie, to ja mówię zagadkami. Kiedyś ci to wytłumaczę. Obiecuję.

– Serio, nie chcę rozmawiać o Spin School, zwłaszcza że jutro też muszę tam jechać. Lepiej zjedzmy kolację. Cieszę się, że wróciłeś do domu.

– Tak, wziąłem wolne na cały tydzień.

– Sin tak po prostu cię wypuścił?

– Nawet Sin nie ma czasami wyboru, kiedy się na coś uprę. Zachichotałam.

– Wierzę ci.

* *
*

Maddie – jak na projektantkę mody przystało – była chodzącą definicją ekstrawagancji. Zwykle nosiła kolorowe, zwiewne sukienki, do których dobierała wzorzyste apaszki. Włosy zbierała w zgrabną kiteczkę na czubku głowy; były